



Teresa Krzyżanowska

część I z IV

Sygnatura notacji: **N0619**

Data urodzenia: **24.01.1932 r.**

Data nagrania: **21.05.2024 r.**

Miejsce nagrania: **Dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sudół**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 57 min, część III: 60 min,**

Format nagrania: **video**

część IV: 42 min.

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Teresa Krzyżanowska: Nazywam się Teresa Krzyżanowska, z domu Chykiel. Urodziłam się 24 stycznia 1932 roku w Warszawie. Ojciec mój, Władysław Chykiel, pochodził z Łodzi, przyjechał do Warszawy na studia, na Politechnikę i został już do końca życia w Warszawie. No z małymi potem chwilami gdzie indziej był, jako że był wywieziony do Niemiec i potem po wojnie nie mieliśmy mieszkania, więc też tułaliśmy się po różnych miastach. Moja matka pochodziła z Kielc, była nauczycielką, potem pracowała w kuratorium, a potem w Ministerstwie Oświaty. Całe życie, to znaczy oprócz wczesnej młodości w Kielcach, gdzie skończyła szkołę, zresztą maturę już robiła w Warszawie i do końca życia mieszkała w Warszawie. Co ja mam dalej mówić?

Tomasz Sudół: Jakby mogła Pani opowiedzieć o historii swojego ojca, który wstąpił na ochotnika do Wojska Polskiego?

Teresa Krzyżanowska: Więc mój ojciec przyjechał na studia do Warszawy i po drugim roku Politechniki – studiował Wydział Elektryczny – po drugim roku Politechniki zgłosił się na ochotnika do wojska 11 listopada 1918 roku. Przerwał studia, trzy lata był w wojsku, potem wrócił na studia, skończył studia i zaczął pracować w elektrowni warszawskiej. Pracował do powstania, a potem po wojnie jeszcze też krótko pracował w elektrowni. Był żołnierzem w Legionach jeszcze. Ja wszystko to opisałam, mogę to dać. To będzie dużo dokładniej i łatwiej przeczytać. Był parę razy przed wojną wzywany do wojska na ćwiczenia. Również pół roku przed wybuchem wojny był wezwany do wojska, był w Bydgoszczy wtedy, jak była ta „krwawa niedziela” w Bydgoszczy, a mój ojciec codziennie pisał list do matki, do mojej matki, czyli swojej żony. I te listy nie przysły,

bo już wojna wybuchła. Natomiast jak Niemcy już byli w Warszawie, wszystkie listy po kolei przyszły z opisem całej „krwawej niedzieli”.

Tomasz Sudół: Ma Pani te listy może?

Teresa Krzyżanowska: Nie, przepadły. Wszystko przepadło. Wyszliśmy z Warszawy tak, jak żeśmy stali. Bez żadnego majątku. Bez nawet najpotrzebniejszych rzeczy. Ojciec jak był w wojsku przed wybuchem wojny, ponieważ pracował w elektrowni, był kierownikiem działu oświetlenia ulic, a wtedy już miasto Warszawa przygotowywało się do zaciemniania, wobec tego ojciec był wzywany służbowo do elektrowni. Przyjeżdżał w mundurze oficera, był podporucznikiem rezerwy, ale w mundurze przyjeżdżał do elektrowni, wszyscy go widzieli. I co charakterystyczne, w parę miesięcy później, jak już Niemcy byli w Warszawie – zdaje mi się, że w listopadzie 1939 roku, ale nie powiem na pewno – ogłosili, że wszyscy oficerowie, nawet rezerwy, mają się zgłaszać i rejestrować. Ojciec nie poszedł, nie zarejestrował się. Nawet jeden pracownik tam podszedł do ojca i mówił: „Panie inżynierze, a pan to co?”. Ojciec mówi: „A czy ja byłem w wojsku?” – No rzeczywiście nie. I mimo, że w elektrowni pracowało czterech folksdojczów i czterech Ukraińców, nikt ojca nie zdradził, że był w wojsku. Do powstania. Ojciec potem był w AK, brał udział w powstaniu. Po powstaniu Niemcy nas wywieźli, ponieważ mamusia prosiła, żeby nie wychodził z powstańcami, tylko żeby wyszedł razem z nami, z rodziną, wobec tego ojciec wyszedł właśnie razem z nami, z ludnością cywilną wyszedł. No i zostaliśmy wywiezieni do Niemiec. W Niemczech trafiliśmy za Essen i za Wesel, za miastem Wesel. W polu była niedokończona budowa baraków. I tam nas po kilku dniach koczowania dalej w pociągu, w wagonie towarowym oczywiście, wpuścili nas do tych baraków. Ale ja muszę chyba cofnąć się jeszcze o parę dni, że jak nas wywozili, oczywiście towarowym pociągiem, pociąg miał 52 wagony, ogromny pociąg, Niemcy ładowali średnio 60 osób do wagonu, odliczali, dając bochenek chleba jeden na cztery osoby. I przy tym nas odliczali, ile osób wchodzi do wagonu. Z tego wniosek, że pociąg liczył sobie około 3200 Polaków. Jechaliśmy bardzo długo, pociąg przepuszczał wszystkie transporty wojska, amunicję, które szły na zachód, na front zachodni. Dojechaliśmy tak, chyba trzecia noc była w Bochum. O godzinie 10.00 zaczął się alarm. Staliśmy na dworcu, przepuszczając jakiś inny pociąg. Zaczął się alarm. Maszynista zaczął uciekać. Dojechał niedaleko, do takich rozgałęzień pociągów. Anglicy zaatakowali pociąg. Ostrzeliwali pociąg i rzucali bomby zapalające. Nasz wagon się zapalił, ale myśmy byli zamknięci od zewnątrz. Pani, która stała przy tym okienku, takim zakratowanym, jak to w bydłym wagonie, takie małe okienka u góry były, pani się zapaliły już włosy, starsza pani. I w tym momencie nas otworzyli, a trzeba jeszcze powiedzieć, że jak nas pakowali do tego wagonu, to pakowali nas wszystkich na stojąco. Stojący człowiek zajmuje mniej miejsca, ale przecież trzeba potem usiąść, jak nas wieźli w sumie cztery dni. Mieliśmy, no nie plecaki, dlatego że nie było tyle plecaków, ale wszyscy warszawiacy doszywali do worków od mąki czy od kaszy takie szelki i robili z nich plecaki. No więc te nasze plecaki, te worki, ojciec uwiązał na takiej poprzeczce pod sufitem, żeby trochę było miejsca na podłodze, żeby można było przynajmniej usiąść. Jak wagon się palił, nikt nie myślał o odwiązywaniu tych naszych tobołków, tylko wszyscy wyskakiwali z tego palącego się wagonu. Tak że wyskoczyliśmy tak, jak żeśmy stali w danym momencie. Nalot dalej trwał, Niemcy [Anglicy] rzucali te bomby zapalające. One nie wszystkie się zapalały od razu. Niektóre padały na ziemię i dopiero po jakimś czasie wybuchły, taki słup ognia 2–3 metry. Wszystko się paliło dookoła. To była makabryczna noc. Dopadliśmy do jakiegoś rowu. Wpadliśmy do tego rowu. Ale ludzie z innych wagonów też uciekali przecież, też do tego rowu. Następna warstwa, następni ludzie, potem jeszcze następni. Zdawało mi się, że się uduszę, ale

się nie udusiłam. Anglicy spostrzegli. Jeszcze było jasno, jak w dzień od pożarów, nie wiem, czy oni wtedy oświetlali, czy nie, nie pamiętam, ale od samych pożarów było jasno. Oni zobaczyli, że ludzie z tobołami wyskakują z tego pociągu, przestali bombardować, bo najpierw jeszcze z broni pokładowej strzelali. Z naszego wagonu były zabite dwie osoby. Akurat siedziały przy drzwiach. Dwie dziewczynki, tak wyglądały na 16 lat. Oryginalne były, bo ludzie przeważnie siedzieli albo rozmawiali, albo nic nie mówili, a one obrabiały chusteczki na szydełku. I ta dziewczyna została zabita. Jak to, świat jest mały. Dwa lata później spotkaliśmy jej matkę. Jechaliśmy jedną ciężarówką, bo wtedy pociągi nie chodziły, bo były tory pozrywane po wojnie. Jak ludzie zaczęli narzekać, że tak źle się jedzie ciężarówką, ta pani odezwała się, że w gorszych warunkach jechała. I od słowa do słowa okazało się, że to była matka tej zabitej dziewczynki. Tak że spotkaliśmy się. Wracam do pożaru. Pożar jeszcze dłuższy czas trwał. Makabryczna noc, ludzie krzyčeli, nawoływali się. Dosłownie zdawało się, że takie wycie było. Pogubili się przy tym nalocie. Nasz wagon był spalony. Rano Niemcy podstawili nowy pociąg z innym wagonem, no ale naszych rzeczy już nie było. Dojechaliśmy z Bochum, za Wesel była taka wieś, nazywała się Spellen. I tam były budowane baraki. W tych barakach już byli ludzie, mimo że baraki były nieskończone, miały tylko ściany i dach. Nie było podziału w tych barakach, nie było ubikacji jeszcze. Ponieważ baraki były zajęte przez poprzednie transporty warszawiaków, to nas trzymali jeszcze w tym pociągu. Jeszcze nie pamiętam, że 3–4 dni koczowaliśmy w pociągu. Tak że w sumie to chyba z 8–9 dni byliśmy w pociągu. No w końcu tamte transporty zabrali, nas wpuścili do tych baraków. Nie najlepsze były warunki, bo spaliśmy na podłodze. W nocy ludzie wychodzili na zewnątrz za potrzebami naturalnymi. Jedni po drugich deptali, bo to wszystko, tłok w tym baraku był okropny. Nie pilnowali nas w ogóle. Można było wyjść, teren był nieogrodzony, tak że chodziliśmy do wsi. A we wsi rosły ogromne kasztanowce. Chodziliśmy i zbieraliśmy, bo to były jadalne kasztany. I jedliśmy te surowe kasztany, bośmy byli głodni. Na tyle dni dawali bochenek chleba na cztery osoby, czyli ćwiartkę chleba. Przed Bochum, gdzieś zatrzymaliśmy się na jakiejś stacji i dawali zupę. Ale myśmy nie mieli ani garnka, ani nic. Więc nie dostaliśmy tej zupy, ale zresztą i tak zupy zabrakło na ostatnie wagony, więc nie byliśmy stratni specjalnie. Jak byliśmy w tym Spellen, to już dostawaliśmy jakąś zupę. Tak że już coś, niemniej byliśmy ciągle głodni. No i zjadaliśmy te surowe kasztany jadalne. W tym obozie byli sami warszawiacy. Któregoś dnia ojciec spotkał żonę swojego kolegi, która była z pochodzenia Austriaczką. Wyszła za Polaka, bo czuła się Polką. Mówiła świetnie po polsku, ale mówiła świetnie po niemiecku. Poszła do Lagerführera, czyli takiego komendanta tego obozu. Zaczęła z nim rozmawiać, przemówiła mu do kieszeni, dając jakieś złoto i on jej wypisał zwolnienie. Ona miała córkę też Tereskę i była w moim wieku ta Tereska. Miała już wypisane zwolnienie, jak spotkała ojca na terenie tego obozu. No i mówi: „Nie mogę wyjechać i zostawić was tutaj”. Wróciła z ojcem do tego samego łapownika lagerführera. Ojciec miał zaszyte w spodniach trzy złote „świnki”, to znaczy to są złote pięciorublowki. Tyle było majątku, tyle dał temu lagerführerowi, w zamian za co on nam wypisał zwolnienie. Ale nie mógł nam wypisać zwolnienia do Warszawy, Warszawy nie było, ani do Generalnej Guberni, ale ponieważ ojciec był urodzony w Łodzi, a Łódź należała do Warthegau [Kraj Warty], czyli do Niemiec w czasie wojny, wobec tego on wypisał nam zwolnienie do Łodzi, bo wiedział, że na granicy nas złapią. Między Warthegau a Generalną Gubernią była granica dobrze pilnowana. Wobec tego mieliśmy zwolnienie do Łodzi. A trzeba powiedzieć, że nas było czworo, bo byli moi rodzice, ja i nasza słuźca, która była u rodziców 7 lat jeszcze przed moim urodzeniem. Zresztą dożyła 101 lat i tutaj w tym mieszkaniu umarła, już wiele lat po wojnie.

Tomasz Sudot: A jak się nazywała ta pani?

Teresa Krzyżanowska: Natalia Szewczyk. I to był członek rodziny już, należała do naszej rodziny. Więc oczywiście ona też była na tym zwolnieniu. Ojciec wychodząc od tego Lagerführera, znowuż spotkał mamusi przyjaciółkę, która zresztą była moją chrzestną matką, jej męża i jeszcze jakąś dziesiątą wodę – kuzynkę kuzynów. No i znowu wrócił do tego Lagerführera. Ojciec mówił po niemiecku, może nie tak dobrze, jak ta Austriaczka rodem z Austrii, ale mówił po niemiecku. Poszedł za nową łapówkę zwolnił ich Lagerführer, ale już bał się wypisywać nowego zwolnienia, tylko na naszym zwolnieniu, gdzie były cztery osoby, dopisał jeszcze trzy osoby. No i nasze losy już były złączone do końca wojny. Oczywiście z radością wszyscy, zresztą na tym zwolnieniu pani Wawrzyniakowej, która powiedziała ojcu o takich możliwościach, też było siedem osób, tak że nas było razem czternaście osób. Ojciec powiedział: „Nie czekamy, żeby nas tutaj rozpracowali”, że przecież nie było żadnych zwolnień. Idziemy... Nie było już żadnego pociągu, który by się na tej stacji zatrzymywał, bo to była taka maleńka stacyjka na wsi. Wobec tego poszliśmy na piechotę do Wesel, no i tam złapaliśmy jakiś pociąg, który szedł, no jakaś taka kolejka dojazdowa była. Wsiedliśmy. Wszystko, co na wschód jechało, było dla nas dobre. Przesiadaliśmy się w nocy szereg razy. W międzyczasie był nalot jakiś, właściwie to nie był nalot, to był chyba przelot tylko. Zeszliśmy do schronu, dostaliśmy... Najlepiej pamiętam, gdzie nam, co dawali jeść. Byliśmy tacy głodni, że to było najważniejsze. Nie byliśmy oznakowani, nie byliśmy spisani, nie mieliśmy litery „P” przyszytej do ubrania. Wobec tego Niemka rozdawała jakieś kanapki z serem i myśmy się też załapali na te kanapki. Po jednej kanapce dostaliśmy. Przesiadaliśmy się tej nocy chyba cztery razy. Dojechaliśmy do Essen. W Essen znowuż jakiś pociąg szedł do Dortmund. W Dortmund poprzedniej nocy, nie ostatniej, ale jeszcze poprzedniej, był ogromny nalot i Dortmund się dopalało, dosłownie jeszcze się dopalało, jak myśmy wysiedli rano z tego pociągu i czekaliśmy na następny pociąg, który szedł dalej na wschód. Dojechaliśmy w ten sposób... Był pociąg do Paderborn. W Paderborn wysiedliśmy. Znowu załapaliśmy się na jakąś zupę. Pamiętam, jak ta zupa wyglądała, taka kolorowa była, z marchewką. Zjedliśmy tą zupę, czekaliśmy jeszcze. Takie ogromne schody były, bardzo szerokie i bardzo wysokie schody i mamusia już była taka zmęczona, że siedziała na tych schodach, zasnęła i spadła z tych schodów. Tak że przeraziliśmy się, czy się nie potłukła, ale jakoś nie. Wsiedliśmy do następnego pociągu, który jechał bezpośrednio już do Łodzi. Nie, chyba do Berlina, przepraszam, do Berlina. I w Berlinie przesiadaliśmy się w nocy. I wtedy już pociąg był do Łodzi. Do Łodzi dojechaliśmy wieczorem, nie wiem, może to była szósta godzina, ale już się tak troszkę ściemniało. Wysiedliśmy, deszcz padał. Ojciec miał ciocię, która mieszkała w Łodzi. No więc pojechaliśmy tramwajem do tego domu, gdzie ona mieszkała. Przywitał nas dozorca. Dzielnica niemiecka w międzyczasie, czego przecież myśmy nie wiedzieli. Ponieważ była dzielnica niemiecka, więc wszystkich Polaków wyrzucili z tego domu. Mieszkali już sami Niemcy, tylko został dozorca. To był bardzo porządny człowiek, mówi: „Słuchajcie, nie możecie wyjść, bo o 7.00 godzina policyjna, złapią was od razu. Musicie tu przenocować. Ja pójde do tych Niemców, ja zgłoszę, że jesteście, żeby w razie czego nie było nieprzyjemności”. Poszedł, zgłosił, że jego rodzina tu przyjechała. Niemcy się zgodzili. On dał trochę słomy na podłozie, znowuż spaliśmy. Ale przyzwyczajeni byliśmy już do tego, na słomie i tak było lepiej niż na gołej podłozie. Nakarmił nas, dał nam chleba ze smalcem. Tak że naprawdę porządny człowiek. No i przenocowaliśmy do rana. Rano ojciec poszedł szukać tej cioci. Aha, bo nas dojechało siedem osób tylko. Bo z tamtego zaświadczenia znajomej ojca, to oni wysiedli już gdzieś tam po drodze. Tak że nas było siedem osób. No ojciec cioci nie znalazł, już nie żyła. Natomiast jakichś tam dalszych kuzynów znalazł, którzy nas przyjęli. Nas trzy osoby przyjęli. Dwie osoby ojciec ulokował gdzieś tam, u znajomych czy u rodziny. Natalkę jeszcze z tą kuzynką jakąś daleką też ulokował. No i na razie byliśmy bezpieczni. Byliśmy tydzień. Załatwione było przejście przez „zieloną granicę”. Mieliśmy w środę w nocy przechodzić, a we wtorek... I mąż tej mamusi przy-

jaciółki, która była moją chrześną matką, mówił, żeby nie wychodził rano, bo rano wszyscy idą do pracy i Niemcy łapią tych, co chodzą po ulicy. A on wyszedł. Złapali go. Przyprowadził do ojca, że ma zwolnienie. No, Niemcy wiedzieli, że nie ma zwolnień żadnych. No i wyłapali nas wszystkich. I z powrotem do obozu, do Pabianic, był obóz przejściowy. Tak że całą siódmką już pojechaliśmy do Pabianic. W Pabianicach siedzieliśmy trzy dni. Przewieźli nas do Poznania, ale już nie byliśmy z warszawiakami, tylko byliśmy z przypadkowymi ludźmi, którzy byli wywożeni na roboty do Niemiec. Między innymi byli Ukraińcy, Ukrainki. No i pamiętam pierwsze zetknięcie z Ukrainkami. Wieźli nas tramwajem, bo całą grupą nas wieźli. One weszły, nie podobało im się jakoś, że za ciasno. I zaczęły wymyślać: „Proklajatyje poljaki!” [„Przekłęci Polacy“]. To były pierwsze słowa, jakie słyszałam od Ukrainek. Zresztą potem pracowałyśmy razem, to jeszcze inne słyszałam słowa, też przykre. Przyjechaliśmy do obozu do Poznania. Znowuż parę dni w Poznaniu nas trzymali. Dołączyli nas właśnie do takich różnych, Ukraińcy byli, Białorusinki były, jakaś rodzina, Kozak był z rodziną i czworgiem czy pięciorgiem dzieci. I nas wywieźli w stronę Hamburga. Ale obóz przejściowy znowuż był w Lerte koło Hanoweru. To był bardzo duży obóz przejściowy z obsługą częściowo ukraińską. Bo Ukraińcy przecież ręka w rękę z Niemcami szli. No i byliśmy tam w Lerte. W Lerte nas obfotografowali. To są nasze Arbeitsbuchy, w których są te fotografie. Arbeitsbuchy, czyli książki pracy. To jest fotografia, bo szliśmy w takiej kolejności: pierwszy szedł ojciec, potem moja matka, potem ja, a na końcu Natalka. No i nas... To jest mamusia, to jest ojciec tutaj, a to ja jestem. Pokażę może swoją fotografię sprzed... Nie, nie mam tutaj. Zrobili nam fotografię, trzymali nas parę dni, a do Lerte przyjeżdżali kupcy tak zwani. Kupcy to znaczy Niemcy, którzy mieli jakieś zakłady pracy, fabryki, warsztaty i oni brali pracowników. Więc parę dni siedzieliśmy, dopóki nas ci kupcy nie zabrali. Dostaliśmy te dokumenty, a ja się przeziębiałam i strasznie kaszlałam. Tam były jeszcze trzeba powiedzieć, baraki, łóżka były trzy piętrowe. Właściwie to nie były łóżka, tylko takie platformy, gdzie każdy jeden obok drugiego spał. Ta trzecia platforma to była pod sufitem i jak ja kaszlałam, to nie mogłam nawet usiąść, dlatego że za nisko był sufit. No, ojciec znając niemiecki, zaczął się rozpytywać, czy nie ma tu jakiegoś lekarza. Okazuje się, że był lekarz. Stary człowiek, stary lekarz. I powiedział, że dziecku potrzeba świeżego powietrza i odżywienia. No akurat było. Ale dał mi jakieś lekarstwo z anyżkiem, kazał wypić przy nim od razu pół szklanki tego lekarstwa i ja już mniej kaszlałam. Powiedział, żeby przyjść następnego dnia. Przyszliśmy, ale już było wiadomo, że wyjeżdżamy i ojciec prosił, żeby dał to lekarstwo jeszcze na drogę. Powiedział, że nie może, że może tylko na miejscu dać jakiegokolwiek lekarstwo. Nie wolno mu dać żadnego lekarstwa dalej. No więc znowuż nas zapakowali do pociągu, ale tym razem już nie towarowego, tylko pociąg był taki pasażerski. Przejechaliśmy przez Hamburg, na Półwysep Jutlandzki zawieźli nas, bo firma Gadov nas kupiła, nazwisko rosyjskie, ale to był Niemiec, który miał firmę budującą drogi na lotniskach. I trafiliśmy na lotnisko pod granicą duńską, bardzo duże lotnisko. Rodzice i Natalka pracowali przy łopacie, natomiast ja jako nieletnia, bo ja miałam 12 lat, dali mnie do kuchni i obierałam 12 godzin z przerwą na obiad, w kuchni żołnierskiej kartofle obierałam. No tam siedziały Ukrainki właśnie, które jak płukały kartofle w takich ogromnych garnkach, w takich kotłach, to wylewały wodę potem z tego płukania na podłogę, a w podłodze była kratka i ściek od razu był. No jak wylewały, to tak wylewały tą wodę, żeby zawsze nogi nasze zalać. Tak że nie były takie dobrze usposobione Ukrainki do Polaków. A propos Ukrainek, to jak wspominałam, był z nami Kozak z rodziną. I ten Kozak był zabierany gdzieś do robót z tymi Ukrainkami. Ukrainki mówiły między sobą: „Nasz batjuszka [ros. ojczulek] Stalin”. A jak Kozak usłyszał, to powiedział: „Nasz batjuszka? Chyba wasz, bo mój to nie!”. Źle się to skończyło dla niego, bo jak wojna się skończyła, to siłą ich zabierali z powrotem do Rosji. On nie chciał wracać. To był ogromny chłop, taki dwumetrowy, jak się zaparł w drzwiach baraku, to nie mogli go siłą wyjąć z tych drzwi. Myśmy tego nie widzieli, bo myśmy już byli

gdzie indziej, ale ci, co zostali, to potem nam opowiadali całą historię tego Kozaka. Siłą go wyjęli i wystali do Rosji. Anglicy byli paskudni pod tym względem. Potem myśmy byli w strefie angielskiej. Hamburg, półwysep Jutlandzki, ta część to była w strefie angielskiej. No ale wróć do wojennych przeżyć. Rodzice nie pracowali nigdy przy łopacie. Dla nich ta praca była trudna i ciężka. Ojciec był czasem wykorzystywany do pomocy geodecie. Nosił za nim łatę. W butach, które dostał, w drewniakach, chodził po błocie, te drewniaki grzęzły. Był tak zmęczony, że się przewracał. Zresztą napisał to takie wspomnienie i ja to uwzględniłam w swoich wspomnieniach. Będzie do przeczytania. No i w rezultacie któregoś dnia ojcu kazali nosić takie rury betonowe i takie obręcze betonowe jak do studni. One są bardzo ciężkie, w kilku nosili, ale czy ojciec za wcześnie dźwignął, czy za późno puścił tą rurę betonową, tą obręcz betonową, wtedy mówili „przerwał się”. Dostał ataku strasznego. W ogóle nie mógł się ruszyć. W baraku, w naszej sztubie tak zwanej, w naszej izbie było 10 osób, średnio było 12 osób w sztubie. To oczywiście piętrowe prycze. Mieliśmy tylko siennik i dwa koce. Zresztą zawszone, zapluskwione niesamowicie. No i ojciec w takim ogromnym ataku bólu leżał od środy do soboty. I charakterystyczna rzecz – Białorusinka. W tym samym baraku była rodzina Białorusinów. Tam dziewczynka była o dwa lata ode mnie starsza, czyli miała 14 lat. Myśmy nie mieli z nimi kontaktu, nie rozmawiało się specjalnie. Nie wiem, od kogoś się dowiedziała, że mój ojciec jest taki bardzo chory. A Białorusini byli w lepszych warunkach, bo oni uciekali przed... Chyba przed Ukraińcami też. Zresztą nie wiem. Wpadli w ręce niemieckie i byli wywiezieni do Niemiec na roboty. Wobec tego oni furą wyjeżdżali. Mieli kołdrę, mieli poduszkę. Białorusinka, która dowiedziała się – nikt jej nie prosił o to, ona się od kogoś musiała dowiedzieć, że ojciec jest taki chory – wzięła swoją poduszkę, przyniosła i dała ojcu. Ja zawsze wspominam to, że to była różnica między Białorusinami a Ukraińcami. Powiedzieli ojcu, że na lotnisku jest jakiś doktor. I ojciec się zwałócił, ledwo doszedł do tego lekarza, a ten mówi: „Koniecznie szpital, natychmiast!”. Ojca wzięli na noszach do szpitala. To była sobota. I wywieźli do Niebüll, to takie miasteczko 20 km od granicy z Danią. Lekarz niemiecki, lekarz tego szpitala... Aha, tam nie było baraku dla Polaków, bo na Półwyspie Wiotlackim mało było Polaków, ale byli rusczy i jeden barak w szpitalu był dla Ruskich. I ten lekarz zdecydował, nie oddał ojca do tego baraku dla ruskich, tylko umieścił w centralnym budynku szpitala obok sali operacyjnej. I potem ojciec jak wychodził ze szpitala, podziękował mu i zapytał się, dlaczego on to zrobił. On powiedział, że myślał, że natychmiast będzie operacja. Taki był stan. I dlatego już nie oddał do innego baraku. tylko przy sali operacyjnej w separacie ojciec leżał. Bardzo krótko zresztą, potem na zbiorową salę przeszedł. No i jak leżał na normalnym łóżku, dostał szpitalne jedzenie jakiejś tam, z odpowiednią dietą, jakoś ustąpiły te bóle i nie doszło do operacji. Został przeniesiony na ogólną salę. Tam było dużo osób, ale był bardzo ciekawy skład tej sali. Był na przykład Ślązak, który mówił po niemiecku, ale pacierz mówił po polsku. Był oficer włoski, nazywał się Pollone. Mówili do niego tenente [porucznik] Amadeo Pollone. Amadeo to było imię, a nazwisko było Pollone. I ten Włoch się zaprzyjaźnił z ojcem. Rozmawiali po francusku i bardzo sympatyczny był. Potem jeszcze pisał – nie wolno było do nas pisać listów, ale kartki otwarte można było wpisać – to on pisał kartki do ojca jeszcze. No a myśmy z mamusią zostały w baraku. Ale wieźli tych robotników otwartą ciężarówką z łopatami. I ciężarówka miała boki niezabezpieczone, źle zabezpieczone z tego widać. Nagle na zakręcie otworzyła się kłapa. I wszyscy z tymi łopatami wylecieli na przymę kamienia łupanego. Potłukli się okropnie, poranili się, potłukli się. No i już nie nadawała się ani mamusia, ani Natałka, nie nadawała się do pracy przy łopacie. Natałka w ogóle się nie nadawała już do pracy, bo jeszcze miała żyłaki. Otworzyły się te żyłaki, zrobiły się rany, bo skaleczone zostały te żyłaki. Mamusię skierowali do kuchni podoficerskiej, z kolei też do obierania kartofli. No i... Ale zupełnie nie wiedziałyśmy, co z ojcem się dzieje. Wobec tego namyśliłyśmy się, nauczyli mnie mówić, bo mamusia nie umiała mówić po niemiecku. I nie umia-

ła się nauczyć szybko, powiedzieć, że proszę dwa bilety do Niebüll i z powrotem. A ja się nauczyłam, tak jak małyka mówiłam: „Bitte zwei Fahrkarten nach Nibe und zurück.” No i urwałyśmy się z mamusią. Tam nie byliśmy pilnowani, bo tam nie było jak uciec przecież. Kupiłyśmy te bilety i pojechałyśmy do ojca. Właśnie zobaczyłyśmy, już był na tej sali zbiorowej, już było lepiej. No a potem drugi raz urwałyśmy się, ale drugi raz to już było z przygodami, bo bilet dostałyśmy, ale w pociągu był tłok, to było przed Bożym Narodzeniem i jacyś Niemcy, tacy grzeczni byli, zaprosili nas z korytarza do przedziału. Myśmy nie bardzo chciały iść do tego przedziału, bo przecież żadna z nas nie mówiła po niemiecku. No, ale oni nalegali, no i ustąpili nam miejsca i weszłyśmy do przedziału. I był taki stary Niemiec, naprzeciwko mnie siedział i zaczął mówić do mnie. No ja byłam przerażona, bo myśmy oczywiście odczepiły tą literę „P”, przyczepioną tutaj na klapie palta. Nie chciałyśmy rozmawiać, bo zobaczyliby, że jesteśmy Polki, a nam nie wolno było przecież jeździć pociągiem i urywać się. Mamusia mi szepnęła do ucha: „Nic nie mów, tylko się uśmiechaj”. No i dojechałyśmy, to było niedaleko, tam się jechało niecałe pół godziny. Wysiadłyśmy szczęśliwe z pociągu, poszłyśmy parę godzin, odwiedziłyśmy ojca w szpitalu i wróciłyśmy szczęśliwie, bez jakichś przygód gorszych. No ale ponieważ wypisali ojca przed Wigilią ze szpitala, do niczego nie nadawał się, do żadnej pracy. Mamusia odbierała kartofle, no to też nie było takie przeznaczenie tej firmy. Ja też odbierałam kartofle. Wobec tego firma postanowiła przenieść nas na inne lotnisko i do innej pracy. No i zawiadomili nas w styczniu, że... Tak że Wigilia jeszcze była na tym lotnisku. Był kucharz, który podszedł do nas w Wigilię, jeszcze pracowała taka dziewczynka o rok starsza ode mnie, miała 13 lat, i mówi coś do mnie, a ja nie rozumiem. Zawołał tą drugą dziewczynkę. Okazało się, że powiedział, że została marchewka z groszkiem, żebyśmy to sobie wzięły na święta. Mówił: „Weźcie dla swoich”. No i triumfalnie w Wigilię przyszłyśmy, tam tyle, taki kociołek to był taki, ale ciągnęłyśmy ten kociołek po śniegu, i przyniosłyśmy. Ponieważ Polaków było 22 osoby tylko, więc w drugiej izbie polskiej była pani, matka właśnie tej dziewczynki, one były z Wołomina, ale one w lepszych warunkach przyjechały, miała prześcieradło, wobec tego to prześcieradło służyło za białą serwetę, dwóch młodych ludzi przyniosło choinkę, bo na lotnisku były posadzone takie małe choinki, przynieśli choinkę, tam ktoś miał opłatek. No i spędzaliśmy Wigilię w 22 osoby. Jeden z tych młodych ludzi zaczął śpiewać pieśń „Ponurego” [„Modlitwa obozowa”]: 00:43:12,800 --> 00:43:15,010 „O Panie, któryś jest na niebie...”. Wtedy pierwszy raz słyszeliśmy to. Taka była oryginalna Wigilia, ale o tyle dobra, że ojciec już był z nami. No i potem w styczniu nas zabrali na następne lotnisko, ale tylko naszą trójkę. A Natalka została tam. I zabrali nas na lotnisko, które było pod Hamburgiem. I ojca przydzielili jako pomoc montera. Gdzie jakieś urządzenie elektryczne było popsute, to ojciec z tym monterem szedł jako jego pomoc. A myśmy z mamusią... Najpierw nas nie chcieli przyjąć, bo nie było na lotnisku Polaków, więc nas chcieli dołożyć do baraku, gdzie byli Łotysze. Łotysze podnieśli krzyk, że u nich jest ciasno i że nie chcą nas. No więc dosyć długo trwały targi i nas zaprowadzili do baraku, gdzie żołnierze byli. Jeszcze jedna izba była wolna, taki magazynek jakiś był, czy coś w tym baraku. I nas umieścili w tej izbie. No więc ojciec chodził jako pomocnik montera, a myśmy nie miały jeszcze przydzielonej pracy. Dziwna historia się wydarzyła na lotnisku. Komendant tego lotniska, Niemiec, samolotem uciekł do Anglii. No więc dali nowego komendanta, już bardzo surowego. I on robił przegląd lotniska. Przyszedł do tego baraku, gdzie myśmy byli. No żołnierze, wszedł do naszej izby. No i zdziwiony, dlaczego. „Kto ty jesteś?” – do ojca mówi. „No Polak”. „A skąd się tu wzięłeś?”. „Z powstania wywieziony”. „Zawód?”. „Inżynier”. No to ten się wściekł, wrzeszczał, krzyczał. I za godzinę już nas nie było na tym lotnisku. No bo przecież ojciec wszędzie chodził po tym lotnisku, wszędzie miał dostęp z tym monterem. Nie dość, że z powstania, nie dość, że Polak, to jeszcze inżynier. Wyrzucili nas z tego lotniska do Uetersen, 20 km dalej było niedaleko od Hamburga takie nieduże miasteczko, trochę uprzemysłowione. Z boku szosa była i przy

tej szosie było kilka fabryk. Rodziców dali do fabryki, jakieś urządzenia elektryczne tam były. A mnie jako nieletnią dali do fabryki obok. Była fabryka diatomitu, to była przyprawa do zup. No więc ja pracowałam cztery godziny w fabryce jako nieletnia. Zdejmowałam z taśmy pudełka. Trzeba było uważać, bo jak się zagapiłam, to to pudełko wysypywało się, bo nie miało góry. Trzeba było brać z taśmy i podstawiać pod maszynę. No a pozostałe cztery godziny pracowałam w kuchni przyfabrycznej. No ale myśmy nie dostawali z takiej kuchni jedzenia. Tam tylko pracownicy fabryki dostawali, a myśmy byli umieszczeni w baraku z Polakami. I dostawaliśmy takie kartki dla Polaków. Kartki na chleb, na kartofle, na coś tam. Takie żywieniowe kartki. Ponieważ ja pracowałam krócej od rodziców, bo po tych ośmiu godzinach pracy, a w kuchni obierałam kartofle, już umiałam obierać. Bo na początku to był problem, bo ja nie umiałam obierać kartofli. W ogóle byłam strasznie niepraktycznie wychowywanym dzieckiem. Umiałam grać na fortepianie, umiałam haftować ładnie, ale kartofli nie umiałam obierać. No ale się nauczyłam. Więc tu w kuchni obierałam kartofle i taką byłam do pomocy pani, która... Oni mieli majątek pod Poznaniem, wywiezieni byli, całą rodziną. I pani była kierowniczką tej kuchni, właścicielką tego majątku. No a ja byłam taka przynieś-wynieś do pomocy. No i tam się sympatycznie nawet pracowało w tej fabryce, zarabiałam siedem marek tygodniowo. To wcale nie było mało, bo na te kartki nawet się nie wydało siedem marek tygodniowo. A ponieważ ja wcześniej kończyłam od rodziców, to wcześniej jechaliśmy w jedną stronę razem, z tego baraku do tej fabryki, do tych Faaborg właśnie, a ja wychodziłam wcześniej i robiłam zakupy na kartkę. No i kiedyś miałam taką przygodę, że na kartce była margaryna. Ale od razu..., kartki były, ogłaszali, że ten numer jest nieczynny już, nieważny. Wobec tego ogłosili, że te wszystkie kartki na margarynę są nieważne. A ja weszłam do sklepu, kupując chleb, kartki na chleb też były anulowane bardzo często. Weszłam do sklepu, a tam siedział taki stary Niemiec. Bo w ogóle albo młodzi Niemcy byli do 16 lat, mężczyźni, albo bardzo starzy, którzy nie byli w wojsku. A ten w sklepie siedział, sprzedawał, i pyta się, czy ja chcę margarynę. Ja powiedziałam, że tak. I on mi dał kostkę margaryny. No więc z triumfem przyniosłam do baraku. A trzeba powiedzieć, że myśmy nie należeli do żadnej kuchni dla Polaków. Tam nie było kuchni, dlatego że ci Polacy byli rozproszeni na różne zakłady pracy. I tak jak rodzice, w jednej fabryce, ja w drugiej fabryce, a tamci Polacy różnie też. Dlatego mieliśmy te kartki. Ale trzeba było coś ugotować. A tam w baraku był piec takiej wysokości, ale nawet jak się postawiło jakiś garnek na tym piecu, to dostawaliśmy sześć brykietów tygodniowo. Jak się wszystkie sześć spaliło, to jeszcze się woda nie zagotowała tak wysoko. Wobec tego nie było na czym ugotować. No i znalazł się taki pan, który się nazywał Drzewiecki, nomen omen. On już cztery lata mieszkał w tym baraku, cztery lata był w Niemczech. Był zaznajomiony ze wszystkimi możliwościami, jak można załatwić, jak można coś ukraść, jak można coś załatwić. Wobec tego zaproponował rodzicom, że jak my mamy kartki, a on ma maszynkę zepsutą elektryczną, to jakby ojciec zreperował, to on by do nas dołączył i mielibyśmy gospodarstwo czteroosobowe. No więc rodzice przystali na to. Ojciec zreperował tą maszynkę, tak z takimi spiralkami, były pozrywane te spiralki. No i można było coś ugotować. No i pan Drzewiecki, to był opatrznościowy dla nas człowiek, on umiał rozbierać płoty. W okolicy płotów już nie było. Zima była przecież, styczeń, luty, to było jeszcze bardzo zimno, a pan Drzewiecki przynosił drzewo z rozbieranych płotów. No więc... A ponieważ ja przychodziłam do baraku najwcześniej, to ja gotowałam. Pożal się Boże jak, bo nie umiałam gotować. Jak dostałam kostkę margaryny, to pan Drzewiecki mówi: „No ale są cztery kartki”. Kazał mi iść na drugi dzień do tego samego sklepu, do tego starego Niemca i poprosić, żeby dał mi jeszcze trzy kostki margaryny. Przyniosłam jeszcze kostki margaryny, a pan Drzewiecki zdecydował, że szkoda zjadać margarynę, trzeba ją wymienić na kaszę. W Uetersen było kilkunastu Jugosłowian, bardzo przystojni młodzi chłopcy, którzy pracowali we młynie. I oni mieli dostęp do mąki, do kaszy, im się bardzo dobrze

powodziło. Wobec tego zachciewało im się takich luksusów jak margaryna. Pan Drzewiecki poszedł i wymienił, mówił, że jedna kostka zostanie, a trzy kostki wymienimy. Dostał trzy kilo kaszy manny. No to była ogromna radość, bo myśmy byli przecież ciągle głodni. Zaczęłam gotować kaszę manną, ale nie umiałam gotować. Wsypałam tą kaszę, zrobiły się takie kulki kaszy, z zewnątrz obgotowane, a w środku surowa kasza była. No dopiero rodzice mi wytłumaczyli, że kaszy się tak nie gotuje, że trzeba wrzucić na zimną wodę i mieszać. Tak że potem już umiałam gotować kaszę. No i dzięki temu nie byliśmy tacy głodni, no i przetrwaliśmy zimę. Ale w okolicy płotów nie było. Tak że ja zawsze mówię, że to był mąż opatrnościowy, ten pan Drzewiecki. No i tak dotrwaliliśmy do końca wojny. Pamiętam dzień, kiedy jechaliśmy do pracy, bo do tej fabryki było dosyć daleko i kolejką się podjeżdżało, a potem się szło szosą już na piechotę. I dojechaliśmy kolejką, wyszliśmy z kolejki i jakiś chłopiec, taki Niemiec, taki wyglądał na 13 lat może, stara Niemka naprzeciwko szła i spotkała go. Zaczęli mówić, ale czułam, że coś się wydarzyło. I ona go zabrała do jakiegoś domu, do bramy. Ja zostałam, a rodzice poszli naprzód trochę. Zostałam i cofnęłam się też do tej bramy. A oni coś mówili bardzo cicho. Ja już trochę zaczęłam mówić po niemiecku, bo mnie ojciec uczył codziennie, w baraku jak byliśmy, to lekcje miałam niemieckiego. Zdziwiłam się, że oni mówią tak cicho, bo Niemcy wszyscy głośno mówią, a tu ona tak cicho do tego chłopaka mówiła i takim przerażonym jakimś głosem. I usłyszałam dwa słowa: „Berlin kaputt”. No więc dobiegłam do rodziców i mówię: „Berlin kaputt!”. Była ogromna radość, ale wojna się jeszcze nie skończyła. Ale w parę dni się skończyła wojna. Anglicy do nas jeszcze nie przyjechali, ale myśmy już nie chodzili do pracy. Siedzieliśmy pod barakiem na trawie i myśleliśmy, co tu zrobić, bo Francuzi już wywiesili na swoim baraku chorągiew francuską, a myśmy nie mieli. Trafił się jakiś z naszego baraku robotnik, który miał białą koszulę. Miał dwie koszule, jedną oddał tą białą. I uszyli, a skąd mieli czerwony kolor, to już nie wiem. Ale parę godzin później już była nasza chorągiew na baraku. Tak że już do pracy nie chodziliśmy. Chorągiew była. Niemcy nam dali przydział na każdego puszkę brühwurstu. To była taka krwawa kiszka, ale taką kilową puszkę, dużą. Zdziwieni byliśmy, ale to było też dużo. A jeszcze trzeba się cofnąć, że rodzice jak pracowali w tej fabryce, to przyszła Niemka z jeszcze jakiejś tam fabryki sąsiedniej, i poprosiła właściciela tej fabryki, gdzie rodzice pracowali, żeby dał jej jednego robotnika, żeby jej przywiózł coś wózkiem. No więc trafiło na ojca i ojciec zamiast konia, ciągnął wózek. A Niemka potem chciała zapłacić mu jakoś i dała ojcu dwa jajka. A to było przed samymi Świątami Wielkanocnymi. Długo myśleliśmy, jak spożytkować te jajka. Jedno trzeba było przynajmniej ugotować, żeby było jajko, podzielić się na Święta. A drugie, pan Drzewiecki powiedział, że jak mamy kaszę manną, to przecież można upiec ciasto. No i pani, która zarządzała tą kuchnią w tej mojej fabryce, upiekła z kaszy manny ciasto na jednym jajku. I potem tam dużo osób z baraku przyszło. Plasterek ciasta był bardzo cieniutki, ale każdy dostał po plasterku ciasta i po kawałeczku jajka. I wszyscy mówili, że prawdziwa Wielkanoc jest, dzielimy się jajkiem i jest ciasto nawet. Ale to już się czuło koniec wojny wtedy, to już w powietrzu się czuło.